

ASYMETRIA

Szum ciągłej odmiany znaczeń

Juliusz Kaden-Bandrowski

Myślałem, że miasto da się zobaczyć, że da się zapamiętać –
poślałem kogoś, żeby przez nie szedł.
Posłałem siebie. Bezmyślnie stanąłem u wylotu ulicy.
To wielka ulga nie myśleć, tylko iść,
widząc kamienicę, pomijając ją myślami,
dotkliwie poczuć na skórze, w mięśniach, w kościach.
Tylko bez udziału myśli można się zapatrzyć
i zapamiętać w kamienicy. Wtedy
cała historia uwidoczni się, przypomni –
i rozwinię wzduż prostej miejskiej drogi.
Bogowie opisu, nie wstydźcie się, że jesteście wzywani,
jak ja się nie wstydzę, że wzywam was.
Będę długo czekał na ten fragment miasta,
choć nie mam ani chwili czasu.
To nie ja jestem taki cierpliwy, to nie ja boję się końca.
Ale zastępcy też w sobie nie znajdują, chociaż to on za mnie idzie.
Czekam na rogu ulic,
ale właściwie tylko przechodzę przez to miejsce, szybko,
nigdzie się nie śpiesząc.
Zanim otrzeźwi mnie sytuacja,
która tak dziwnie kogoś ustawia w czasie i przestrzeni,
przebiorę się w nieswoją i swoją pamięć.
Stał tu pałac księżąt Sanguszków, wzniesiony przed 1760 rokiem.

Miał trzy piętra – najwyższy w okolicy.
Pięknie dymił ogromny komin,
zbierał wszystkie przewody dymne pałacu, zadymiał całą okolicę.
Pod kominem żyli coraz to nowi właściciele.
W końcu lat 60. XIX wieku pałac przebudowano.
Był tu sklep z męskim obuwiem,
przymierzało się je staranniej niż dzisiaj,
bo więcej się chodziło, niż jeździło.
W roku 1873 pałac odnowiono, niszcząc rokokową dekorację.
To był czas trzeźwej pragmatyki.
W 1875 roku otwarto muzeum osobliwości –
woskowe modele rąk i nóg torturowanych straceńców,
figura braci syjamskich, wymodelowana
w chwili zgonu jednego.
Obok tych kuriozów otworzono instytucję nader praktyczną,
Wyszą Szkołę Handlową. Uczono w niej języków:
polskiego, rosyjskiego, niemieckiego, francuskiego;
matematyki i historii, geografii handlowej,
nauk przyrodniczych, ekonomii, buchalterii,
rysunków i kaligrafii. Obok kuriozów i pragmatyki
otwarto luksus: modną cukiernię, z największym
w Warszawie przepychem wnętrza.
Meble w stylu Ludwika XVI, ściany ozdobione zielonymi,
upiornymi lustrami, obrazami rodzajowymi,
zakład oświetlała elektryczność z własnej stacji,
z motorem o sile 18 koni oraz akumulatorami,
na wypadek popsucia się maszyny.
W tym lokalu tuż przed I wojną światową
strojne i wymalowane damy z półświatka
godzinami wyczekiwały pod oknem
na przygodnych wielbicieli. Pijało się tu szklaneczkę gluhweinu.
W międzywojniu miejsce kawiarni zajął bank.
Na fotografii z 1938 roku widziałem sześciennej foremnej kamienicę,

emanował z niej kupiecki mieszczański spokój.
Po zrujnowaniu w II wojnie odbudowano ją
i przez długie lata była tu „Desa” – antykwariat staroci.
Oglądałem w niej obrazy, porcelanę.
Przed budynkiem w 1995 roku stał ostatni saturator
z wodą gazowaną w Śródmieściu.
Kiedys woda kosztowała 50 groszy, z sokiem złotówkę.
W roku 1995 czysta woda 20, z sokiem 30 nowych groszy.
Tak mówiła dziennikarzowi pani Rozalia Karczewska
obsługująca saturator, miała wtedy 81 lat, pracowała od lat dwudziestu.
Na fotografii dwie przezroczyste banie szklane,
w jednej woda, w drugiej sok; staruszka podaje wodę
w kubkach plastikowych jednorazowego użytku –
kiedys wodę podawano w szklankach byle jak płukanych
w maleńkiej fontannie. Pamiętam saturatory.
Zawsze mnie ostrzegano, żebym nie pił, bo zaraza.
To tyle. Wszystko tu było.
Dokuczliwy niepokój, prawie ból,
kiedy myślę o ludziach bezbronnie żyjących. Tu i teraz
każdy jest na miejscu i każdy nieswojo,
bo świat łatwo znajduje ich adresy i cały ich przewycięża.
Zaraz ból, bo świat nie może ludziom pomóc,
żeby żyli mocniej, niż żyją, a jeśli żyją dość mocno,
nie może poszerzyć ich miejsc.
A przecież skoro świat do nich przychodzi,
to nie stawia ludziom murów
ani nie dusi nadmiarem opiekuńczości,
nie jest też obraźliwie obojętny.
Jednak ja inaczej to czuję, czuję ból,
bo sam jestem światem i człowiekiem na uboczu,
wzajemnie boli mnie dotknięcie świata i ciała,
jestem bólem świata odepchniętego przez człowieka,
bólem człowieka spychanego przez życie

wzdłuż nieskończonej linii,
po której cofa się świat urażony odrzuceniem,
jestem bólem, żalnym, nieporadnym,
daremny ból człowieka, który bólu nie czuje,
bo jest do miejsca przyzwyczajony. Jestem bólem
beziemnym w imieniu tego mieszkańca,
który nigdy nie zetknie się ze światem ani świata nie przebędzie,
ma ciało w miejscach swojego domu i wędrówki –
a jakby ciała i swojej osoby nie miał dla siebie,
tylko w niewoli jakiegoś uwięzienia tak oczywistego,
że nie można go zauważyć. Jak można tutaj żyć aż do śmierci?
Można, jeśli się żyje troszkę głupio.

Całkiem głupio, ale powierzchownie, nie głęboko głupio.

Nie byłem ciekawy, co mnie spotka po wyjściu z domu;

jednak żeby chcieć wyjść – bo przecież chciałem –

wywołałem w sobie, jak zwykle, ciekawość sztuczną.

Ale sztukmistrzem nie byłem, więc nic nie było ciekawego.

Nie chcę być przedstawiony z imienia i nazwiska,

ani z zawodu, ani z krwi i kości.

Nazywam się wykrętnie i symbolicznie – Adam Ziemski.

Róg Nowego Świata i Wareckiej, nieprzypadkowe miejsce,

gdziekolwiek idę, ono trwa

i rysuje we mnie długą kreskę wspomnienia.

Co tu było? Kto tu był? – Miałem dwadzieścia dwa lata.

Szedłem, rozmarzony, a on zaczepił mnie, żądając pieniędzy.

Odmówiłem. Zobaczyłem go wtedy po raz pierwszy,

po latach, kiedy przyzwyczałem się do tej figury,

nazwałem go „asymetrycznym żebrakiem”.

Rozmowa była gwałtowna, skłócił mnie.

Bez jednej nogi, w ręce szklana lufka z papierosem.

Chuda, wyniszczona, wypalona twarz. Buraczkowy sweter,

na piersiach dwie wielkie agrałki, słomkowego koloru spodnie.

W zimie wymacerowana skórzana czapka z nausznikami,

czarne brudne palto, przyczepione paprochy.

Był upały, chodził w podkoszulce, w krótkich spodenkach –
widać było żalostną, chudą nagość, żebraczkę, kruchą, głodową –
to kontrast z witalną energią jego gwałtownych przekleństw.

Dwie kule, na ich wspórkach
zawieszono mnóstwo plastikowych toreb.

Wyglądał jak asymetryczny strach na wróble.

Miałem wrażenie, że jest w ciągle zachwianej równowadze:
jak coś sobie doda po lewej stronie korpusu,
to zaraz musi coś dodać po prawej, żeby się nie przewrócić,
wtedy niedociążona jest lewa strona, i tak dalej – w nieskończoność,
po prawej lato, po lewej zima,
po prawej woda, po lewej sok,
po prawej mój postaniec, po lewej ja,
po prawej ból, po lewej ból.



Fot. Anna Matysiak